1847. Nr 23. d. 10 Sierpnia ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść przedmiotów: Bazgranina ex-autorki znaleziona za piecem, przez J. J.— Treść Rzymu w pierwszym okresie. (Ciąg dalszy), przez R. Swierzbieńskiego. — Kampement w Warszawie 1732 r. (Dokończenie), przez Juliana Bartoszewicza.

BAZGRANINA EX-AUTORKI

znaleziona za piecem.

WSTĘP.

„Wszystko bowiem musi się lśnić, brzęczyć, robić jaki szelest, żeby im się podobało i w pamięci utknęło."

(Artykuł o kobietach pisany przed 62 laty).

A więc i ja wzięłam się do pióra—i moje spostrzeżenia druk może kiedy odtłoczy, a ludzie czytać będą i unosić się?.. Nie. Tego się nie spodziewam—i mało mię to obchodzi.—Czuję, że mi brak kogoś, komubym się z każdego wzruszenia, z każdéj myśli wyspowiadać chciała. Tyle uwag zamarło już w mojéj pamięci, tyle spostrzeżeń nieudzielonych przewinie się po méj głowie; a szkoda, może jak z cudownego

źródła nowa jaka myśl wytrysnęłaby z mych dumań? nowa!—w starém człowieczeństwie nic już nie będzie nowego. To przynajmniéj znajdą się towarzyszki, emancypowane w moim sposobie niewiasty, które ze wzruszeniem przeczytają kilka stronic tych spostrzeżeń—które... lecz cóż im albo mnie z tego przyjdzie?...

Jednak ponieważ wygadać się potrzeba, albowiem gadatliwość szczodrą dłonią od przyrody mi udzielona, że nie mam nikogo coby mię rad posłuchał—piszę tedy; zrzucę co mam na sercu i mózgu, a może lżejszém życie mi się wyda. Żałuję, że tak mało próżności wlano w moją niewieścią duszę, żem tak zobojętniała na zdania drugich, iż wcale od nich nie wymagam pochwał, hołdu, zdumienia... O gdyby nie to! z jakąż zręcznością przeplatałabym moje widzimi się, przytoczeniami z dziejów, a ci, którym to pismo wpadłoby w rękę, poznaliby iż dzieje są mi nieco znane. Albo téż starałabym się poprzekładać moje ustępy stosownemi zdaniami francuzkich pisarzy—i czytelnik domyśliłby się że rozumiem francuzką mowę. Zresztą mogłabym na chybił-trafił wypisać co z angielskiéj, włoskiéj książki—nadmienić co o fizyce, o astronomii cokolwiek—popisać się odrobiną wiadomości z nauk przyrodzonych; dać zdanie o muzyce, unosić się nad malarstwem—a czytelnicy odbywszy ze mną naukową wycieczkę, nauczeni i zdumieni rzekliby: to jednak *światła kobieta!* nudzi trochę, ale co nauki! co wiadomości!—O moi mili! ja wam odrzeknę wyrazami Salomona: próżność próżności! Co was obchodzi czy piszący umie to lub owo? wy szukacie w powieściach prawdy—zdań zdrowych, zdań każdemu przydatnych, a dzisiaj pisarze występują przed wami z egzaminem, i wyrywają się z tém co umieją i czego nie umieją—wy zaś czytacie i po kilku odpowiedziach sądzicie, że cały kurs nauk nie źle był odbyty—ale czy to prawda? ja nie wiem. Albo gdy pisarz daje nam szczytne opisy wzniosłych cnot i wielkich czynów, kiedy najczystsze moralności zasady wykrywa jak na dłoni—wy—myślicie: co to za wielki człowiek, co to za poczciwy!—O! dobrzy, kochani czytelnicy! i wy wierzycie, że on tak czyni jak pisze? On tak nawet nie myśli, a jeśli pisał co dobrego, to w skutek zawrotu głowy, lub zastarzałych podań.

Otóż, brzydząc się wszelkiém zmyśleniem, ja obrażę przed wami autorskiego ducha, ja wam opowiem wszystkie błędy, całe niedołęztwo piszących, lecz chcąc być rzetelną, spowiedź mą zacznę od siebie.

I.

„Bodaj to dawniejsze czasy!"

Nie wiem czy to prawda, że dawniéj lepiéj bywało na świecie; lubo wszyscy o tém mówią, ja wszakże temu nie wierzę. Bo już i dawniéj źle być przecie musiało. Przeczytajcie tylko wyjątek przytoczony na wstępie, przed 62 laty nakreślony, z utyskiwaniem nad złym sposobem wychowania kobiét.—Twórca tego artykułu uskarżał się w dalszym ciągu, że kobiety nic nie umieją, niczego się nie uczą, a z téj przyczyny bywają złemi żonami i matkami. Sarkał on na to, iż ledwie mają jakiekolwiek pojęcie jeografii i historyi, i to aby wiedziały o pięknym ubiorze Estery, lub miłosném zdarzeniu ustanowienia orderu podwiązki; że zatrudniają się robotkami, do których nie potrzeba natężenia umysłu—słowem, że prowadzą życie nieczynne umysłowo.

Głos jego, jak widać, nie był głosem wołającego na puszczy. Pół wieku minęło i kobiety znacznie się posunęły na ścieżce umiejętności, już na zarzut nieuctwa nie zasługują, ich życie jest czynne, za bardzo nawet czynne umysłowo—sięgnęły może i za daleko w dziedzinę wiedzy.... a przecież skargi nie ustają—i szanowne nasze mistrzynie lub też mistrze w moralności znów utyskują na brak dobrych żon i matek —i znów spędzają nas jak owce z drogi nauk i lotnych pomysłów na pole dawniejszych zatrudnień. A kręcąc na nas bicze z dzieł o wychowaniu kobiét, wołają: *kobiety na złéj jesteście drodze!* Cóż ztąd za wniosek? Długo suszyłam nad tem głowę, czy brak wiadomości przeszkadza być dobrą kobiecie—i czy zbytek wiadomości też samo wywiera wpływy? Być to może nareszcie, lecz u nas gdzie taki krzyk na złe kobiét kształcenie, nie spotykamy tych dwóch ostateczności. Kobiety zastosowały się do ogólnego postępu ale mu nie wyrównały, nie są przeto ani zupełnie ograniczonemi, ani też mędrcami co się zowie. Krzyk przecie nie ustaje—i świat woła: kobiety! kobiety wasze

wychowanie zupełnie zaniedbane! — a my biedaczki otworzyłyśmy oczy, załamały ręce, zdumione i strwożone nie wiemy gdzie się obrócić, czego świat od nas wymaga? i gdy trwożliwe schylają głowy i płaczą, mówiąc: *nasza wina* — silniejsze, to jest emancypantki, stoją bardzo z podniesioném czołem — a podumawszy nieco, mówią z urąganiem człowieczeństwu i mężczyznom: — *wasza wina!*

II.

„W méj miłości, jak gdyby w pokutnym popiele
„Tarzałam się czas długi... Tyś igrał z losami,
„Bawiły cię kochanki—karty—przyjaciele,
„Ja cię nawet bawiłam boleścią i łzami.
„O! złorzeczę Tobie!.....”

J. Br.

A cóż, czy nie poznać, że te urywki są kobiety ręką kreślone? Pogderawszy przez parę kartek jak gdyby na przegrywkę do sztuki, nie może się już dłużéj powściągnąć i pierwszy wyraz, który się z ust jéj wysuwa — jest miłość. O! tak, jedyna to myśl całego życia kobiety, jedyny przedmiot pragnień naszych, gonimy za tém uczuciem od lat niemowlęcych — roimy je wielkie, boskie — zdaje nam się, żeśmy uchwyciły tę tajemniczą świętość — a w godzinę śmierci poznajemy, że..... jéj na ziemi nie było.

Otóż opowiem wam (nie wiem czy nader ciekawe) ale rzetelne zdarzenie. — Nie o sobie, — mnie niebiosa obdarzyły zimną krwią — i tém co ludzie nazywają rozsądkiem. Lubię mój dom, moje gospodarstwo, moje suknie; przepadam za świecidłami; taniec mię zachwyca, przechadzki bawią, widowiska cieszą i jestem szczęśliwa — to jest, nie wyobrażam sobie czy może być co lepszego na ziemi, coś godniejszego życzeń kobiety, wyjąwszy zdrowia, pieniędzy i cnoty. — Wyspowiadawszy się tedy z tego co lubię, opowiem o innych różnych odemnie chęciami, postępowaniem, a wcale nieszczęśliwych. — Lat temu parę wyjechałam do krewnych do R.... Ujrzawszy miasto piękne, ucywilizowane, bo ma teatr (a to zawsze dowodzi wysokiego stopnia ukształcenia mieszkańców) — dowiedziawszy się, że tam bywają kas-

syna, a przytém jak najuprzejmiéj przyjęta od swoich, tém bardziéj, żem odwoziła część spadkową, postanowiłam dla nowości pomieszkać z kilka miesięcy w mieście.—Gdy już prezentowaną być miałam arystokracyi tego miasta—gdy po długich zachodach wybrałam się na odwiedziny, tak nudzące dla Warszawianki,—Albina, krewna moja, przyszła do mnie i zapytała:—ale, a u pani Lidyi czy będziemy?—A któż to ta pani Lidya?—odparłam.—Rozwódka, lecz bardzo *wzięta*, cała młodzież nasza bywa w jéj domu, jesteś wdową na wydaniu i młodą, wartoby więc u niéj bywać.—Ha! to jedźmy—odrzekłam, bo wyraz *młodzież* czarownie zaszumiał mi w uszach. Słyszałam żem nie brzydka, lubię mężczyzn (i radam bardzo gdy mię otoczy choć małe wielbicieli kółko) wtedy mam dla kogo być piękną, mam przed kim popisać się z muzyką, z dowcipem—bo czyż to wszystko przydałoby mi się na cokolwiek, gdyby nie było słuchaczy i chwalców?..

Gdy wróciwszy z odwiedzin zasiadłam do gawędki z Albiną i jéj mężem,—gdyśmy starym obyczajem nicować zaczęli tych, o których znajomość w ciągu dnia się starałam, gdy mi opowiadać zaczęto i to i owo a wszystko nie na wielką chwałę moich nowych znajomości, syta nareszcie nagan, zapytałam się: a cóż Lidya? Rozwódka, zwyczajnie—odpowiedział pan Gierwazy,—nęci młodzież, bo chciałaby dostać męża... ale... kto ją weźmie?—Dla czego?—Bo rozwódka—przydała Albina.—Ja zaś pytałam: dla czego? I uboga—odezwał się pan Gierwazy.—Wtedy zrozumiałam, że nie łatwo drugiego dostanie.

I zamyśliłam się, a to wówczas rzadko mi się zdarzało. Widziałam Lidyą w jéj białém odzieniu z przesadną skromnością, bo bez najmniejszéj ozdoby ubraną — z jéj uciętemi wijącemi się włosami, w zupełnie niepospolitym ubiorze, pełną prostoty zmyślonéj czy rzeczywistéj, a przecież pustą, wesołą, dziecinną prawie, przy niéj zaś mnóstwo młodzieży nie gwarliwéj, nie lekkiéj jak zazwyczaj salonowa młodzież; ale każdy z nich wydawał się najczulszym kochankiem, człowiekiem pełnym wielkich myśli i uczuć, a rozmowa ich była poważna, uczona, dziwnie sprzeczna z lekkością Lidyi, z jéj częstym szczerym śmiechem, oraz z pewnością, z jaką się do ważniejszych rozpraw mieszała. Zdawało się, że ona igra ze wszystkiém, że

ją wszystko bawi—ale że wszystko jéj znane, i że to poważne młodych mężczyzn grono jest jakby chórem dobrych duchów strzegących nieświadoméj saméj siebie istoty... a mimo to, rzekłem w duszy: nie dostanie męża, bo uboga... Uboga, powtórzyłam głośno.—Pan Gierwazy przyświadczył, ziewnął i powstawszy, powiedział mi dobranoc.

*
* *

Lidya wydawała bardzo miłe wieczorki, na których zawsze tańczono do dwunastéj, a żadna z kobiét nie czekała, aż jaki tancerz nad nią się zmiłuje. Brzydkie i piękne tańczyły do syta—tylko gospodyni bardzo mało—ona zajmowała się najwięcéj rozmową, a zawsze wesołą i w męzkiém kole.—„Jednakże ta Lidya wesołe życie prowadzi, ale gdyby w nowe związki weszła, ustałyby wieczory i zbytki"—rzekła do mnie Albina,—bo mąż przestałby jéj płacić alimenta.—„Szkoda byłaby jéj wieczorów—odpowiedziałam,—u niéj jakoś najlepiéj się bawimy, choć niedawno spostrzegłam, że w jéj domu najwięcéj takich mężczyzn, jakich świat hołyszami zowie—i oprócz kilku zamożniejszych, reszta ani może myśleć o żonie."—To prawda moja Ludko! zdaje mi się wszakże, iż Lidya, lubo zalotna i dla wszystkich uprzejma, uczyniła już wybór, bo pan Karól coś bardzo był z nią poufale.—Stryj młodego Juliana?—Tak jest. Pan Karól jest ubogi, ale Julian bogaty, a stryj jest zarazem i opiekunem synowca. Młodzieńca wysyłają za granicę, gdy powróci, znajdzie w swych dobrach stryjenkę—a na dobrach długi.—Nie, odpowiedziałam—Lidya zboczyła z utartéj ścieszki, po któréj społeczeństwo dąży do kresu, jest w jéj domu i w niéj saméj coś—czego wytłomaczyć nie umiem—i dla tego sądzę, że ona nie zechce bogacić się krzywdą Juliana—choć w tém nieby nadzwyczajnego nie było.—W kilka dni po téj rozmowie Julian wyjechał, Lidya przecież nie poszła za pana Karola, a grono jéj wybranych jeszcze poważniejsze, jeszcze czulsze dla niéj było.

Albina wyjechała z mężem na czas niejakiś, wiele osób wydaliło się z miasta, kilka zasłabło na panującą w mieście gorączkę—nie było gdzie bywać, pojechałam do Lidyi, i nudząc się sama jedna w obszernym domu Albiny, prosiłam Lidyi, aby mię na kilka dni przyjęła.

Z początku zanosiło się na odmowę, późniéj przecie nagła jakaś myśl skłoniła Lidyą do méj prośby.—Owszem, rzekła—zostań, ustąpię ci naszego pokoju, ale pod warunkiem, iż przez te kilka dni nigdzie, nigdzie się nie oddalisz, chyba do kościoła.—Rozśmiałam się i przyrzekłam, mówiąc, że nawet i do kościoła nie wyjdę, bo dosyć raz na tydzień w niedzielę, a to był poniedziałek. Lidya pierwszy raz spojrzała na mnie z powagą; tak przenikającego spojrzenia nie widziałam u niéj nigdy. Więc nie masz o co prosić Boga, nie masz za co dziękować? —Proszę Go i dziękuję mu w domu, wszak to jedno.—Prawda—rzekła Lidya,—ja wszakże codzień bywam w kościele.—Ty Lidyo? ty nabożna!—wyrzekłam zdziwiona.—Dla czegóż cię to dziwi, zapytała smutnie—ale prawda, złamałam przysięgę—rozwódka, rzekła z goryczą—rozwódka i zalotna, jak ludzie utrzymują—emancypantka, niedbająca o sąd świata.... i z jéj pałających oczu dwie jasne łzy spłynęły.

Cóż łatwiejszego nad łzy? u kobiet osobliwie—mnie nawet nie zawsze łzy poruszą, bom się ich napatrzyła, płynących za rozdartą suknią, popsutym strojem głowy, zgniecionym kołnierzykiem—widziałam nawet łzy kłamane, łzy na zawołanie, aby poruszyć widzów lub słuchaczy—i dla tego nie zawsze płaczę z płaczącémi.

Ale u osoby, na któréj twarzy ciągły uśmiech, pogoda w oku i w czynach, wesołość w mowie, u osoby, którą za lekką uważamy—wykryć głębokie uczucie boleści—wkorzenione, nieodstępne od tego szczerego uśmiechu, od tego jasnego oka; boleści zabójczéj, co pozbawia szczęścia i pokoju, a pokrywa się pokoju i szczęścia sukienką, to było dla mnie okropne, choć niepojęte—usiadłam na kanapie i rozpłakałam się, rozszlochałam się na piękne, a moja dusza, jakby pełniejsza, lepsza, przyległa do Lidyi, bo po tych dwóch łzach wymownych, odkryła tajemnicę cnot i boleści. Wesoła i spokojna Lidya stała przedemną—potém rzekła zcicha: wstydź się, wstydź! to dzieci tylko płaczą przy drugich. Na pogrzebie, po stracie drogich osób płakać także wolno, ale kwilić się bez przyczyny kobiecie dojrzałéj—to hańba, to śmieszność—to tylko można uczynić w najciemniejszym zakątku kościoła, bo w domu zejdą cię goście, wyśmieją słudzy...—I dla tego codzień do kościoła uczęszczasz?.. „Bo to jedyna, godna

Boga ofiara, łzy walczącego ducha."—I nagle pociągnęła mię do okna, pokazując kogoś przechodzącego. Rozmowa nasza tak poważny obrót wzięła, iż nie byłam usposobioną do żadnéj wesołości, rzekłam więc do niéj z wyrzutem: „właśnie też pora przyglądać się przechodzącym."— Ludwiko!—rzekła Lidya—nie wiész, żeś nadspodziewanie spełniła moje życzenia. Uważałam cię oddawna i bacznie, i z całego towarzystwa znajomych mi kobiet, ty jedna przystałabyś na .... dobrą znajomą.—Przyjaciołką twoją Lidyo! będę aż do śmierci—dobrych znajomych masz dosyć.—Mylisz się, to są złe znajome—słyszałażeś kiedy którą, coby o mnie z przychylnością mówiła? któraby poważyła się przemilczyć moje wady a opowiédziéć przymioty—któraby odwiedzała mię dla mnie, nie dla mego towarzystwa? Ale ty z twoim giętkim charakterem, wystarczasz zupełnie sobie samćj, rada z życia, używasz go najlepiéj jak sądzisz i nic nie wymagasz od drugich. Dotąd też nie wiele dla nich uczyniłaś—ale wszystko uczynić potrafisz—dla tego może, iż cię wiele rzeczy żadnych wysileń kosztować nie będzie. Ty jesteś wróżką Lidyo! zkąd mię znasz tak dobrze?—Uśmiech był jéj odpowiedzią—goście weszli, nasza rozmowa się przerwała.

*

* *

Dwa tygodnie mieszkałam z Lidyą, i dusza moja odrodziła się przez ten przeciąg czasu; chrzest prawdy, miłości i poświęcenia spłynął na mego ducha, przejrzałam i w dziękczynnéj modlitwie padłam na twarz przed Bogiem—wielbiąc imię jego za to, że mię oświecił, że wśród zbutwiałych ścian społecznego gmachu ujrzyć mi dozwolił nową Jemu wznoszącą się świątynię. Jacyż to ludzie byli owi *zalotnicy* Lidyi? i przyjrzawszy się im, pokochałam ludzkość i wierzyłam w cnotę.—Pan Gierwazy powrócił z żoną i zgorszył się przyjaźnią w jakiéj żyłam z rozwódką zalotną. Ludzie pobłażają występkom, podają im rękę do wyniesienia—chwalą je nawet w razie potrzeby, a sarkają na nie przy każdéj sposobności. Bywaliśmy u Lidyi, bo wszyscy na jéj wieczorach bywali, jak gdyby hańba podzielona nie była hańbą. Żadna z kobiét przyzwoitych nie chciała być z nią w zażyłości, aby cień mniemanych wad Lidyi nie spłynął i na nią. Ja jedna uczyniłam to naprzód

bez namysłu, potém z przekonania—poróżniłam się nawet z memi krewnemi, i odtąd dom Lidyi został moim.

Jakież to było czynne i pełne życie! zajęte od rana do wieczora modlitwą, czytaniem, odwiedzaniem kilku ubogich chorych, rozmową z *zalotnikami* Lidyi, urządzeniem jéj wieczorów. Ślicznie przepędzałyśmy godziny. Lidya ciągle wesoła, tylko przy Karolu bladła nieco i mieszała się, uważałam to oddawna—i raz, kiedy deszcz ulewny zatrzymał wszystkich w domu, po spędzonym sam na sam wieczorze, rzekłam:—Lidyo! przyznaj się, ty kochasz Karola? Lidya zadrżała— O nie, nie—odrzekła, ale nie dojdziesz wątku. Czy masz wolę słuchać mię i czy ci się na sen nie zbiera? — Słucham, tylko zaczynaj, bom ciekawa twego życia.—Lidya zaczęła:

„Bóg dał mi duszę ognistą, do wielkich cnót usposobioną—umysł bardziéj męski niż niewieści, serce nadzwyczaj czułe, wolę silną... Nie sądź, że to ci mówię, aby się chwalić. Wiele jednak ludzi nie pozyskało tych wszystkich razem przymiotów—a są szczęśliwsi i lepsi odemnie.....

Moja matka kochała jedną tylko istotę na ziemi... ojca mojego, a mój ojciec kochał tylko siebie. Miałam lat cztery, gdym straciła matkę: jéj ostatnie wyrazy były wyrazami miłości dla mego ojca, błogosławieństwem dla trojga pozostałych córek, z których dwie późniéj umarło—a ja najmłodsza żyję jak widzisz.

Czteroletnie dziecię wzięła do siebie matka mego ojca—wychowała mię surowo, zaraz zapędziła do nauki—karała słusznie i niesłusznie, a nie pieściła nigdy. Inne dzieci wiedzą co pieszczota rodzicielska—ja tém się pochlubić nie mogę.

Jednak jeszcze mi nie źle było u babki: ale gdy ta mocno zasłabła, sześcioletnia, nie tylkom jéj dojrzyć nie umiała, lecz nawet zawadzałam jéj bardzo; ojciec mój już się ożenił—oddano mię do ojca. Macocha moja, gdy ojciec był jeszcze kawalerem, służyła u niego za gospodynię, i ja oprócz, nowo-narodzonéj siostrzyczki, znalazłam jeszcze w domu brata starszego od siebie. Nie mogłam tego zrozumiéć, ale tak było; miałam brata—był to syn mego ojca, syn mojéj macochy. Powiesz, że mój ojciec postąpił uczciwie, skoro tak szlachetnie nagrodził błąd

młodości—jak mówią. A ja odpowiem, iż był raczéj nieuczciwym, mógł albowiem bez błędu nadać swe nazwisko pannie Józefie, kiedy jeszcze nie miał méj matki za żonę. Nie ganię tego, iż się ożenił ze służącą, broń Boże—lecz że oszukiwał moją biedną matkę, która dla niego dałaby się potępić, a która nie wiedziała.... ale czyż to ona jedna?.. Oddano mię do szkoły, dzięki temu, miałam kilka godzin szczęścia, lubiłam naukę, na zdolnościach nie brakło—trwożliwa gdyż ciągle łajana, grzeczną i dobrą byłam dla wszystkich, a dobrze mi było w szkole! Za to też w domu brat grał ze mną w konia, bił postronkami i targał za włosy; macocha szturchała, ojciec gderał, a siostrzyczka szczypała i gryzła, bo maleńka—darła książki i zabawki moje psuła, bo maleńka. Moja młoda gorąca dusza nie miała przed kim wylać się we łzy i uczucia; wynalazłam sobie przyjaciółkę, ale ta obmawiała mię w szkole, i za gorącą przyjaźń oddała mi gorzéj niż obojętność. Wtedy w dziesiątym roku życia, powiedziałam: nie wierzę w przyjaźń—nie chcę przyjaciółki;—wtedy korząc się przed Bogiem i raz pierwszy—ale już nie z nawyknienia, lecz z głębokiém uczuciem rzekłam: Bóg jest—Bóg mi będzie ojcem i matką—Bogu polecam moje życie. Żywą bywa wiara serc młodych, zaciekanie się w dzieje życia ludzkiego często nadwątla wiarę, ale umysł świeży nie umié wątpić, bo czuje, że tak być powinno jak on się domyśla.

Rodzeństwo moje nie powiększało się na szczęście—było nas ciągle troje—siostra rozgrymaszona, rozpieszczona, lecz dobra zresztą; brat zaś?.. ten obrzydził mi cały ród męski. Był to zwierz w całéj rozciągłości tego wyrazu. Skory do prześladowania wszystkiego co słabe, co niedołężne, gotów dręczyć własną matkę—wydrzeć własnemu ojcu ostatni od ust kąsek... Ojciec mój cieszył się tą dzikością, macocha karciła ją ale nie w porę, i dopiéro późniéj gdy synek na wszystko wyuzdany okradać ich zaczął, oddano go do wojska—kula uwolniła mię od tego braterstwa.

Szesnaście lat już kończyłam, moje ukształcenie umysłowe było jakie takie, ale duchowe żadne. Długo tłumiona moc duszy wybuchła z całą potęgą; kłóciłam się ząb za ząb z macochą, biłam dokuczającą mi siostrę, ojcu odpowiedziałam pogardą—i wtedy przekleństwo ojca spadło na moją głowę....

Powiédz, czyżem nie występna? Pod przekleństwem ojcowskiém schyliłam głowę—i poddałam się, gotowa znieść więcéj, skorom tyle już zniosła. Jedna jeszcze zostawała mi ucieczka—przeczucie miłości —i to jedno świeciło mi długo... Oddano mię do ciotki, ciotka odesłała do stryja, stryj do ojca swéj żony—z rąk do rąk rzucana, przy ojcu méj stryjenki bawiłam lat kilka, tam poznałam miłość, i ztamtąd poszłam za mąż. Dziadek (takeśmy go zwały) miał przy sobie rodzoną wnuczkę, przyszłą jego dziedziczkę, ładną, dobrze ułożoną, kochaną od rodziców, szczęśliwą. Mnie zdziczyła niedola, wiedziałam też, że powierzchowność moja zaniedbana, i jeszczem trwożliwszą się stała. Nikt nie dbał o moje potrzeby, wielu mi rzeczy nie dostawało.—Zofia też wyglądała przy mnie jak dzień przy nocy—podwyższałam jéj zalety, czułam to—lecz zrzekłszy się wszelkiego szczęścia, nie byłam zazdrośną względem Zofii. Miała ona tłum wielbicieli, tak dla wdzięków jak dla posagu, szczególnie też najbliższy ich sąsiad pan Roman... ten najusilniéj dobijał się jéj ręki—ale że choć prawego charakteru, i więcéj może wart był niż reszta, Zosia go nie cierpiała.

Czy wierzysz co za dowcipny wynalazł sposób dostania się do serca Zosi?—przezemnie. Udał zakochanego we mnie, ze mną tylko mówił, mnie świadczył grzeczności, na Zosię nie patrzył nawet przez czas jakiś—a ja nieświadoma podobnéj przewrotności, ja, którą nikt w życiu nie kochał, całém sercem oddałam się méj miłości, całém sercem go pokochałam. I nie wzruszyła go miłość moja, nic dziwnego, inną miał w duszy; lecz ile cierpień, walk, ile uniesień gorzkiéj zazdrości wzbudził w mém sercu, tego opowiedzieć nie zdołam. Mimo to był i jest uczciwym człowiekiem, i zapewne nikt mu wyrzucać nie będzie, że o mało nie zabił mię moralnie. Spostrzegłam się przecież i poznałam, że mię łudzi—nikczemny jego wybieg oburzył mię bardzo, pogarda zajęła miejsce miłości i skończył się pierwszy mój romans.—Wiesz, żem niezmiernie dumna, nie mogłabym ani minuty kochać bez wzajemności—ta wyniosłość oszczędziła mi wiele cierpień.

Miłość zaczęła mię wykrzesywać—oburzenie dopełniło tego dzieła. Na wiadomościach mi nie zbywało—do cnót brakło tylko pola, a ułożenie? sama nad niém pracować zaczęłam i.... podobno że zemsta lepszą była mistrzynią nad wszystko. Zapełnioną mając głowę najprzód

smutném przeznaczeniem, potém miłością, mało myślałam o sobie; nie mając pięknych sukień, rzadko kiedy patrzyłam w zwierciadło—a młode, proste dziewczęta przeglądają się najczęściéj dla swego stroju; wdzięki zaś przeliczają w zwierciadle dojrzalsze dopiero kobiety; młode? młode nie troszczą się o nie, bo im wdzięku z latami przybywa. Zaczęłam jednakże przyglądać się swéj powierzchowności—uważać w czém i jak mi najlepiéj; sąd mój bardzo był surowy—przy każdém jednak nowém ułożeniu włosów, świeżo przymierzonym staniku, zasięgałam zdania poczciwéj szwaczki naszéj—Magdusi; moje ubogie suknie starałam się jak najkorzystniéj poprzerabiać—i w ciągu 10 tygodni ułożyłam się jak należy. A gdy na imieniny dziadka zjechało się dosyć gości—ja w mojéj białéj muślinowéj sukience zaćmiłam strojną we floranse i krepy Zofiję—i nie jeden z jéj czcicieli, zachwycony mojém czarującém, jak mówiono wejrzeniem, mojemi oczyma Włoszki, czy Gruzinki—na prawdę palił mi grzeczności—i gotów był pojąć mię za żonę, gdybym była bogatą. Po skończonym wieczorze, kiedy zmęczona, zdyszana, głowę mając nabitą hołdami a serce radością, rozebrałam się i rzuciłam na łóżko, gdym pomyślała że nieskromność, którą mi chwalono, nie ciche cnoty niewieście, lecz prosto zręczna zalotność tyle mi spowodowała pochwał—urągać zaczęłam mężczyznom i rozśmiałam się na głos szatańsko, a potém padłam na kolana i prosiłam Boga, aby mi tylko jednę, jednę dał do kochania istotę, a nigdy za mąż nie pójdę.

Nazajutrz, czy to znużenie po całodziennym tańcu, czy téż niesmak jaki zwykle następuje gdy przeminie szał zabawy, dość, iż uczułam się tak znękaną, tak zniechęconą do towarzystwa, które jeszcze pozostało, iż pod pozorem bolu głowy nie wyszłam wcale do gości. Czułam głęboką pogardę dla ludzi, wiedziałam, iż pochwały tych co mi wczoraj hołdowali, nie przynoszą mi chluby, że kobiety zazdrośne mego powodzenia, rade mię obmówią—gotowa byłam stawić im wszystkim czoło, wyrzucić na oczy nikczemność, znienawidziłam wszystkich, gardziłam sobą. Usiadłszy smutna w oknie, patrzałam na okolicę nie widząc jéj wcale. Rozmowa naszéj gospodyni z płaczącą jakąś wieśniaczką, przerwała moje błędne dumania. Otworzyłam okno i zapytałam wieśniaczki czego płacze? Lubię, kocham nawet włościan

i wszystko co się ich tyczy, bardzo mię obchodzi. Wieśniaczka odpowiedziała mi zanosząc się od płaczu, iż umarł jéj mąż, a sześcioro drobnych dzieci pozostało. Umarł nagle, fizyk powiatowy robił dyssekcją i nie znalazł przyczyny, oprócz niezmiernego sił wycieńczenia, znaleziono w wnętrznościach jego tylko wodę, a pracował przy kopaniu rowu na pańszczyznę—umarł więc z pracy i głodu!!— Powiesz mi Ludwiko, że praca nie zabija, będzie to śliczne zdanie moralne i ja się na nie zgodzę. Przydam tylko, iż dla głodnego i źle odzianego, praca czyli natężone ruchy są zabójcze; w bezczynności przedłużyłyby życie. Ileż to tysięcy nieszczęśliwych najciężéj pracować musi o głodzie i w odzieży nie chroniącéj ich przed zimnem.—Uczeni ściśle obliczyli jaką ilość węgla i wodorodu człowiek *powinien* przyjąć w pokarmie;—nieuczeni czują, że taki byt jest okropny i nienaturalny dla człowieka—lecz ani jedni, ani drudzy zaradzić temu nie chcą, czy nie mogą....

Biedna wdowa przyszła do dworu prosić o kilka desek na trumnę i o parę korcy kartofli dla dzieci, bo nic już do jedzenia nie mieli, a ręka co ich żywiła, nie poruszy się więcéj do pracy. Z moich oczu łzy popłynęły—gorzkie, nie litości, lecz oburzenia.—Pobiegłam do spiżarni i zabrałam co mogłam z pozostałego mięsiwa od wczorajszéj uczty; nie śmiałam wziąść wszystkiego... byłby to *zbytek*. Nie mając ani grosza, niczem dopomódz biednéj nie mogłam, ale spojrzałam na moje korale, pamiątkę po babce, cóż mi po téj ozdobie? pomyślałam i dałam je wieśniaczce, prosząc aby spieniężyła, oznaczyłam ich wartość mniéj więcéj, i poleciłam, żeby za to kupiła zboża na chleb dla siebie i dzieci.

Zbliżał się czas wieczerzy, i ja wyszłam do jadalnego pokoju, a przy stole umyślnie opowiedziałam Zofii o śmierci biednego Antka. Zosia powtórzyła to obecnym, dziadek ze smutkiem to potwierdził—obecni zajadając jak najsmaczniéj, nie zdawali się bardzo wzruszeni. Wielu z nich ciągnęło daléj swą rozmowę—jeden tylko powiedział, że coraz to ciężéj będzie, bo przednówek a włościanie niedbali przepijają ostatnie zapasy, spuszczając się na zapomogę dziedzica. Drugi zaś przydał: że to próżniaki, którym pracowaćby się nie chciało, gdyby nie *musieli.* Wówczas pan Karol zwrócił na siebie mą uwagę, on jeden

zdawał się wzruszony, on stanął w obronie włościan — sąsiadka též moja śliczna, średnich lat kobieta, ze łzami w oczach rzekła do mnie: iż wszędzie teraz taka biéda, że i u nich ludzie ledwie nie umierają z głodu. Jużem chciała uścisnąć jéj rękę, lecz spostrzegłam, że białe paluszki błyszczały kilku drogiemi pierścieniami — zatrzymałam się, wyrzekłszy: a pani masz tak piękne brylanty?.. Nie zrozumiała mię, i pewna będąc żem olśniona jéj przepychem, z pobłażającym uśmiechem spojrzała na Karola, i Karol, który niedawno zaczął uczęszczać do nas jako krewny narzeczonego Zosi, a który bardzo złe musiał o mnie powziąść wyobrażenie po wczorajszém szastaniu się mojém, spojrzał badawczo, i zdumiony został dziwnym wyrazem jaki zaległ moje rysy. Nie wiele mię to obeszło wówczas, lubo od dnia owego coraz baczniejszém okiem spoglądał na mnie stryj Juliana, w częstsze wdawał się rozmowy, i niewykrywając swego sposobu myślenia, starał się poznać moje zasady i usposobienie. Nie wiedziałam żem była dla niego tak ciekawym przedmiotem—mnie co innego zajmowało. Sierota, od nikogo niekochana, z nikim przyjaznych stosunków niemająca, pragnęłam wynaleźć sobie drogę i wyszukać cel, do którego dążyć powinnam. A żem dość cierpiała, że niedola blisko mi była znaną, przeto wszystko, co tylko tknięte ręką nieszczęścia, miało i ma dla mnie urok niewymowny. W towarzystwie, gdy jedni garną się do bogatych, inni do pięknych, uczonych lub utalentowanych—ja najłatwiéj dostrzegę smutnych, a choć sama żywa i wesoła, najchętniéj wszakże ze smutnemi przestaję.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KAMPEMENT W WARSZAWIE 1732 R.

(Dokończenie.)

8go sierpnia następował popis grenadjerów. Żółta gwardja Rutowskiego i kompania saska Promnitza miały udział w tym popisie, którym kierował książę Jrał-Maj. infanterji Wda Ruski. Ale spadł deszcz ulewny i zdawało się, że nie sposób będzie odbywać dalszych poruszeń. Wyjaśniło się przecież niebo po południu i powtórnie kazano wychodzić grenadjerom na pole, ale na polu stały ogromne kałuże i nierówności, tak zalała woda, że oficerowie i żołnierze miejscami brnąć musieli przez zatopy, ledwie nie po kolana w wodzie. Dziesięć kompanij stanęło w jednéj linji, a w każdéj po 96 grenadjerów, 8 podoficerów i chorąży ze sztandarem. Sztandary nowe kazał król rozdać przed kampementem. W każdéj kompanji znajdowało się 4ch ober-oficerów, a w każdym bataljonie, których było 2, byli sztabs-oficerowie. Prócz tego przy każdéj kompanji stanęło po dwóch doboszów i 2ch fajfrów, a zamiast oboistów, po 8miu ludzi z dudami znajdowało się w każdym bataljonie. Około 4téj dano z pawilonu sygnał do marszu; książe Czartoryski rozkaz powtórzył. Ze środka wysunęli się cieśle z siekierami w ręku, z flintami zawieszonemi przez ramię. Następowały obok siebie idące frontem kompanie saskie Rutowskiego i Promnitza, a za niemi reszta wojska w odstępach. Skręciły się kompanie na prawém i lewém skrzydle i utworzyły trójkąt, w jedném oka mgnieniu, a po chwili zaczęli gęsto strzelać krzyżowniczym ogniem od prawéj ku lewéj stronie i na odwrót *) Rozwinął się znowu trójkąt w sześć linij bojowych przed pawilonem i ścisnął się potém we dwie linje, z któ-

*) *Lauffeuer* biegający ogień, nazywa go Kurjer w języku urzędowym żołnierskim

rych w pierwszéj sześć kompanij stanęło. Uszykowało się jak przedtém w szeregi i roty całe wojsko, a w pośrodku Rutowski i Promnitz z komendami swojemi stali ściśnięci; od nich na prawo i na lewo szły cztery luki, po których następowali Polacy, a za lukami widać było 4ry kompanie w tył o kilkadziesiąt kroków. Dano sygnał i z drugiéj linii wyszły naprzód grenadjerowie Wdy Lubelskiego, ku nim zwrócili się Rutowski z prawego, a Kampenhausen z lewego skrzydła i cztery kompanie uformowały się w jednę brygadę tylną. Wtedy na prawém skrzydle z drugiéj linji wysunęła się kolumna Denhoffa i przeszła pomiędzy dwiema kompaniami gwardji kor. stanowiąc drugą brygadę. Flemming nareszcie przeszedł w pośrodku 3éj kompanji gwardji kor. a gwardją litewską i stanął z niemi w trzeciéj brygadzie. Wtenczas pierwsza linja zbliżyła się o kilkadziesiąt kroków do pawilonu, a cieśle zostali się w środku za trzecią brygadą. Dano siódmy sygnał. Średnia brygada maszerowała w odstępy pomiędzy drugiemi dwiema brygadami na skrzydłach, a cieśle podzielili się na dwoje,—połowa poszła na prawo, połowa na lewo i rozwinęły się następnie w jednę linię. Za ósmym sygnałem uformowano zygzag. Wszystkie dziesięć kompanij zwinęły się w pięć wielkich węgłów zakrzywionych foremnie jak okopy i obróciły się rogami ku pawilonowi. Na rogach powiewały chorągwie kompanji lewego skrzydła na lewo, prawego na prawo. A wtenczas cieśle z tyłu posunęli się naprzód, szli lukami, które wolne były wśród węgłów i stanęli na rogach kompanij, wyciągnąwszy linie od chorągwi do chorągwi. Dano dziewiąty sygnał—stanęła znowu jedna długa linja, a sztandary cofnęły się w pośrodek swoich kompanij. Teraz rozległ się huk strzelby i granatów: wyrzucono przeszło 4000 granatów,—każdy grenadjer po dwa razy niemi salutował królowi, który na ten cel nowym sposobem swojego pomysłu, kompanie na trzy oddziały rozdzielił. Za dziesiątym sygnałem, w nadzwyczaj ściśniętych szeregach maszerowały kolumny na prawo, co miało dziwny i wspaniały widok wystawiać. Sztuczne obroty trwały czas jakiś jeszcze, aż nareszcie książe Jrał Wda Ruski stanął w marszu przed pawilonem, salutował szpadą króla i zawrócił do obozu. W jednéj kolumnie szły za księciem dywizje za dywizjami, a wszystkie chorągwie w jednéj linji, co znowu śliczny przedstawiało widok.

9go sierpnia miał być odpoczynek, ale dziewięć kompanij saskich, to jest siedm z regimentu Nassau, a dwie z regimentu księcia Saxen-Gotha odbywała na próbę ćwiczenia z kopiami, które nazajutrz dopiero w całym komplecie miały się powtórzyć. Każda kompania oddzielne dźwigała proporce. O godzinie wpół do 5téj z rana już się znajdował Regimentarz na czele tych pułków, a król przypatrywał się z pawilonu. Dzień był pochmurny i deszcz padał.

10go sierpnia, niedziela. Nie mogła wystąpić konnica do robienia kopiami, bo pola i łąki za bardzo nasiąkły wodą deszczową. Piechota zatém czyniła z pikami obroty. Kierował paradą Jrał Kampenhausen. Uszykowały się dwa bataliony grenadjerów, a zatém dwa inne bataljony piechoty w trzy szeregi, a czwarty stanął szereg pikinierów z flintami na ramieniu. W każdym bataljonie był Pułkownik, 2ch kapitanów, 6 oficerów, jeden Podchorąży ze sztandarem, 16 podoficerów, 8 doboszów i 64 rot. To wszystko formowało 8 plutonów. Muszkieterowie potém stanęli na skrzydle trzema plutonami, a w każdym po 4ry szeregi; i pikinierowie rozwinęli się aż w pięć plutonów. Podwajano następnie roty i stał każdy bataljon aż w ośmiu szeregach. Po innych marszach ścisnął się każdy bataljon w jeden maleńki kwadrat pełny, mając w pośrodku 8 szeregów i 8 rot pikinierów, a około nich po wszystkich stronach stało 4ry szeregi muszkieterów. Zwijały się znowu, przechodziły i formowały kolumny, aż stanął szyk, jakiego chciał Kampenhausen. Wtedy dał znak Jrał przez dwa działa z obozu, że gotów jest i czeka sygnału do rozpoczęcia parady. Ale król przysłał swego Jrała-Adj. Szembeka, żeby zatrzymano się cokolwiek, bo mało jeszcze panów zjechało z Warszawy. Nie długą była zwłoka. Dano sygnał i poruszyły się kolumny na miejsce przeznaczone do obrotów, które im pokazał Pułkownik Renard St. Tyszowiecki, codziennie obecny na polu od początku kampementu jako oficer służbowy. Odsalutował szpadą królowi Kampenhausen i dobosze zaczęli bić werbel a kolumny strzelać z ręcznéj broni. Potém popisywali się pikinierowie, i znowu bito trzy werble i jedno uderzenie na sygnał, a ogień posypał się strumieniem płomiennym. Po dwa szeregi jednocześnie dawały ognia, wedle nowego wynalazku, który zasadzał się na tém,

że ci co stali na przodzie, nie klękali, a piki przez cały ten czas strzelania spuszczone były, jakby dla odparcia attakującéj konnicy. Bębny dawały znak bezustannie i znów bito cztery werble, i wszyscy dawali salwę w całym kwadracie po trzy razy przy ciągłym odgłosie bębnów. Bito pięć werblów, a pikinierowie cofali się w głąb swoich batalionów. Wtedy zaczął król dawać sygnały z baterji pawilonu i wojska wykonały nadzwyczaj trudne, a liczne obroty, które potrzeba widzieć, bo opisać trudno. Trzynaście dano sygnałów z baterji i trzynaście razy ta cała massa wojsk rozdzielała się w kolumny, przechodziła, zachodziła, rozwijała się, ściskała, stawała w ukos, wzdłuż i w szerz pola, a oko nie mogło prawie pochwycić całości i objąć wszystkiego od razu, tak było wiele do widzenia; tak często działa sygnał za sygnałem posyłały Kampenhausenowi. Gwardją koronną dowodzili w tych obrotach Pułkownicy Bonefus, Manteufel, Hausen i Bardleben,—litewską graf Flemming i Paton,—regimentem królowéj Wangenheim,—królewicowskim Wodke,—batalionem grafa de Friese Pułkownik Unruh. Po jeneralnéj salwie na zakończenie, wszystkie bataljony w prawo kierowały się z czterema rotami w jeden szereg i odmaszerowały na prawe skrzydło blisko 200 kroków,—potém zawróciły na lewo i ciągnęły wzdłuż fossy przed pawilon. Oficerowie, sztandary i żołnierze schyliwszy piki, oddawali salutacje królowi, a przyszedłszy wszyscy na środek zabudowań pawilonowych, wracali do obozu w jednéj kolumnie przy dźwiękach muzyki pułkowéj. Wszystkie te obroty wykonano nie w ściśniętych szeregach, jak przedtém, ale w otwartych kolumnach. W obozie jeszcze na dobranoc królowi, bataljon po bataljonie, mając broń nabitą, dawał ognia, a przy uderzeniu bębnów rozchodziły się kompanie, każda do swoich namiotów. Pomimo więc błota i szarugi, cała Warszawa wyległa na Mokotowskie i Czerniakowskie pola. Wszystkie drogi, ścieszki i przystępy zalały massy widzów, kobiet i mężczyzn, którzy się pięli po pagórkach, cisnęli się tłumami do obozu. Już to samo zbiegowisko pomnażało interess i uroczystość niedzielną.

11go sierpnia, odpoczynek. Król był tak kontent z obrotów dnia poprzedniego, że posłał rano Kampenhauzenowi ze swojéj piwnicy

garniec starego wina, na rozgrzanie się po pracy wczorajszéj. Musiał to być garniec łokciowy, bo na wozie przyjechał, a dwóch ludzi ledwo go zdjąć potrafiło i zanieść do namiotu Jrała. Był to monarszy a prawdziwie stosowny podarunek Augusta.

12go sierp. odbywały się ćwiczenia z pikami albo quarrée. Wyjechała ze stanowisk obozowych kawalerja w 9ciu kompaniach, przystrojona w misiurki, kirysy i karwasze, uzbrojona w kopije, przy których na koniach powiewały chorągiewki różnego koloru. Kawalerja stanęła w jednéj linji przed piechotą, bardzo pięknym porządkiem. Jrał-Major Klingenberg dał znak w obozie z 2ch armat, a z pawilonu w odpowiedź zagrzmiało jedno działo z baterji. Posunęły się więc naprzód chorągwie trzema kolumnami i cofnęły. 18 sygnałów dano z pawilonu,—a kawalerja rozdzielała się na brygady i zmieniała front, to maszerowała na prawo, na lewo. Popisywały się po większéj części wojska saskie, kompanie księcia Saxen-Gotha, Wolfersdorfa, Thuna, Obyrna i Lannociada. Przed pawilonem rozwinęły się dwie linie bojowe w odstępach, i nakazano attak. Powoli na 16 kroków przeciwko sobie posunęli się przeciwnicy. Zatrąbiono trwogę,—jazda spuściła na dół kopije i obadwa szeregi mocnym kłusem przemknęły się przez luki, które umyślnie utworzono, a zaraz podniosły się kopije do góry i zamiast trwogi, trębacze zagrali marsza. Wolno powracały linie na swoje stanowiska, i szykowały się znowu do powtórnego attaku, który jeszcze kilkanaście razy, a zawsze inaczéj ponawiano. Salutowali potém królowi oficerowie i chorągwie i żołnierze kopijami. Za danym znakiem podniosły się znowu kopije i chorągwie do góry, i kopije znowu nazad rzucono, a dobyto szpady. Nakazano odwrót.

13go sierpnia. Odpoczynek. *)

14go sierpnia, nastąpiły poruszenia całych wojsk w massie. O 5téj rano była próba, o 1széj z południa zagrano marsz jeneralny, a w godzinę potém zgromadzała się na stanowiska piechota, a jazda kulbaczyła konie. W ściśniętych szeregach stały te massy zbrojnych, podzielone na dwie linie, które tworzyło 19 batalionów, prócz grenadje-

*) Cały ten opis uporządkowany i skrócony z Kurjera P. Nr. 138.

rów Rutowskiego, a wszystkie z rozwiniętemi chorągwiami. Pierwsza linia posunęła się o 100 kroków ku pawilonowi, mając Regimentarza na czele, przed którym niósł oznaki godności hetmańskiéj Swiderski, buńczuczny. Prawém skrzydłem jazdy dowodził Klingenberg, lewém Mier,—prawém piechoty książe Wda Ruski, a lewém Jrał Kampenhausen. Dał znak Poniatowski, i ruszyło się wojsko w 13 kolumnach jedną ogromną linią,—ośm kolumn jazdy, pięć piechoty. Tą razą szedł już Regimentarz na czele piechoty z przodu 3ciéj kolumny,—za nim Denhoff,—a potém na czele swoich oddziałów Jenerałowie dowodzący skrzydłami. Kazał wtedy zatrzymać się Poniatowski, wystrzelił z dwóch dział, które wziął z sobą z obozu, a które cieśle ciągnęli i z trzynastu kolumn utworzył się w dwie linie szyk bojowy. Strzelano z armat ciągle na sygnały,—a w odpowiedzi na ten pomięszany hałas rżenia i tententu koni, huku dział, mięszały się jazda z piechotą, z kolumnami ścierały się kolumny. Aż ciasno było na polu. To rejterowały się massy, to posuwały naprzód, a ogłuszały powietrze częste wystrzały karabinowe. I samo cofanie się do obozu, odbyło się przy huku nieustannym wystrzałów. Kiedy wrócono do obozu i namiotów, dał rozkaz Regimentarz Jlny, i na znak bębnów, cała piechota odrazu dała ognia na salwę, tak dobrze, że nie mogło być lepiéj, dodaje ówczesny Kurjer Polski. Na podziękowanie wojsku Poniatowski dopełnił obietnicy danéj jeszcze przed paradą,—przed każdy bataljon kazał zatoczyć po pięć beczek piwa i poił swoich żołnierzy.

15go sierpnia. Odpoczynek. Piechota jednak pracowała nad robieniem okopów, których nazajutrz miano dobywać. Okopy te wznosiły się na lewo od pawilonu w stronę obozową. Sypano je z faszyn i ziemi. Faszyny robiła piechota, a konnica je sprowadzała.

16go sierpnia. Od rana odbywały się próby, a całe wojsko zajęte było aż i minęło południe. Król ulitował się trudów żołnierza i kazał opuścić jednę figurę, zwaną *losange*, czyli ośmio-graniasty bataljon. Widzów rano było wiele, ale po południu wszystkie pagórki osiadła ludność stolicy. Rozpoczęły paradę chorągwie żółtéj gwardyi Rutowskiego, które z głównéj kwatery szły na dół obok Mokotowa. W oko-

pach zasiadła piechota, a wojsko mające walczyć rozdzieliło się na trzy brygady,—w pierwszéj stali grenadjerowie konni pod wodzą księcia saskiego, w drugiéj kiryssjery i regiment Miera pod wodzą pułkownika Nassau. Trzecią stanowiła cała piechota, a byli to grenadjerowie Kampenhauzena i łanowi żołnierze. Zaczęły się cząstkowe ruchy wojenne oddziałami, któremi kierowali Wangenheim, Hausen, Pułk. Raczyński Wdzic Kal., Bonafus, Unruh, Bardleben, Tesse, Peraty, Paton i Pułk. graf Flemming. Poniatowski kazał bić marsz i mając buńczuk przed sobą, postępował na czele kolumn, a za nim Denhoff, Czartoryski, Kampenhausen. Ściągnięto całą artyllerją na pole dla obrony okopów. Z Sielc sprowadzono pod Mokotów 8 dział i postawiono je przed frontem od prawego skrzydła,—do nich przyłączyło się dział 20, które dotąd przy bataljonach były. Uroczysty był pochód artyllerji. Szedł na czele Oberst-Lejtn. Frankenberg z kompanią Rutowskiego i Promnitza. Obok nich toczył na koniu Major Pisch. Następował Pułkownik artyllerji kor. Ossoliński, a za nim Oberstlejtnant, Kapitan i 4ry działa 3-funtowe, a przy każdéj po 3ch puszkarzów i 2ch cieśli z piechoty, w skórzanych fartuszkach i czapkach, a z siekierami przy boku. Potém znowu szły cztéry armaty i służba takaż przy nich. W odwodzie kompanie Denhoffa i Jrała Flemminga. Przy działach jechały wozy z amunicją. Na okopach wysypano 7 bateryj, a z każdéj 4ry działa groziły. Grenadjerowie zsiedli z koni i wspólnie z piechotą rozsadowili się w okopach.

Piechota zaczęła układać się w falangi, a jednocześnie jazda od prawego skrzydła wchodziła do okopów. Szedł tam Nassau z kiryssjerami. Lubomirski na czele muszkieterów, który od swego stanowiska pod pawilonem obok Mokotowa maszerował i jazda księcia saskiego. Zsiadła kawalerja z koni i poszła na przeznaczone sobie baterje, zostawiwszy małą liczbę ludzi przy koniach. Amunicja stanęła pomiędzy baterją a jazdą Nassau.

Dragonia zaś, która znajdowała się na lewém skrzydle, ciągnęła się w kolumnach ku fossie przed pawilon, jak maszerowały falangi piechoty i uszykowawszy się we dwie linie stanęła przeciw tymże falangom. Dowodził dragonią Jrał Mier,—a pod nim Pułkownicy Różycki

i Górecki, Oberstlejtn. Wejher i Bomgard. Za danym znakiem formowały się piechota i dragonia naprzeciw okopów.

Za zbliżeniem się do nich, grenadjery Kampenhausena i łanowi, którym przywodził Oberstlejt. Szybilski, rozpoczęli ogień. Wsparły go zaraz drugie dwa hufy, czyli dywizje grenadjerskie. A wtedy wypadł z za okopów grad kul i granatów z dział i ręcznéj strzelby. Powtórzono attak,—toż samo energiczne powitanie. Wtedy bataljony zaczęły się brać do pik i wozów z pikami, które były niedaleko. Uformował się jeden maleńki w środku i jeden większy bataljon w kwadraty. Wtedy lewe skrzydło konnicy uderzyło na te czworoboki, a za tym przykładem poszła i jazda prawego skrzydła. Natarcie było przecież bez skutku, granaty przerażały attakujących: grenatery stali po czterech rogach czworoboków i dzielnie się bronili. Regimentarz Jlny z Jenerałami piechoty znajdował się w czworoboku. Dał rozkaz, a bataljony, krok za krokiem, cofały się zwolna a prosto i w porządku. Attakowała ich jazda w odwrocie, ale za każdą razą las pik spuszczonych do połowy konia, zatrzymał każde natarcie. Dano sygnał nowy,—i jeszcze większe massy kawalerji uderzyły na piechotę i otoczyły ją w koło. Pikami, granatami i ręczną strzelbą z karabinów przyjęto attak,—ale tylko pierwsze batalionu szeregi i attakowane strzelały, na rozkaz Jlów konno dowodzących we środku, a to dla tego, żeby nabojów nadaremnie nie tracić. Trwał ogień od wschodu słońca i piechota odbijała się dzielnie. W wielkim kwadracie zabrakło już prochu muszkieterom,—oddali im swoje ładunki pikinierowie, którzy mało byli w ogniu, a nareszcie i cztery bataljony stojące w pośrodku, a formujące czworobok mniejszy. Cofając się piechota, a nacierając jazda, doszły do okopów i po namiotach odpoczęli żołnierze. Huk strzałów rozlegał się ciągle dzień cały,—w bardzo krótkim czasie przeszło 60 razy działa bateryj okopowych wyrzuciły kule i ogień. Granatów kilka tysięcy wyrzucono, a w prawdziwéj bitwie nie mogło więcéj wyjść prochu, co na téj paradzie wojennéj. Piechota i jazda z ochotą walczyła. Muzyka zostawała wśród boju, a w czasie marszu przygrywano na obojach, bębnili dobosze, popisywali się fajfrowie. Obeszło się przecież dzień cały bez przypadku. Raniono tylko lek-

ko na prawém skrzydle żołnierza i zginął koń, ale przez nieostrożność muszkietera, co zapomniał mu wyjąć stępel żelazny, którym konia przestrzelono przez garło.

17go sierpnia. Odpoczynek. Król sprosił do siebie panów i w pałacu z gościnnością częstował. Wieczorem zaś dał bal z tańcami, który trwał do północy.

18go sierpnia, wojsko, podług zawczasu już ułożonego planu, miało się rozejść na kwatery z polowych obozowisk. Odbyły się jeszcze raz wielkie poruszenia mass na wielką skalę. Cała jazda i konnica miała tu udział. Kierował obrotami Poniatowski. Było dużo huku i strzałów, a po odbytych manewrach, opuszczało wojsko namioty obozowe i szło na przeznaczone sobie stanowiska. *) Wiele pułków powróciło do stolicy i tam zajęło miejsca w koszarach. Na Wielopolu i w świeżo zbudowanych koszarach przy pałacu Kazimirowskim stanęły na chwilę półki Nassau i księcia saskiego z Gotha dla odpoczynku, bo niedługo miały odbyć wielki i trudny pochód przez Mazury i Wielkopolskę,—do Saksonji.

Król jeszcze raz zlustrował całe wojsko koronne cudzoziemskiego zaciągu i we czwartek (21 sierp.) powrócił do Warszawy, do pałacu swojego na Krak. Przedmieściu, który potém Saskim nazywano. **) Willanów, Czerniaków, Mokotów z pawilonem i wioska Sielce, świadki nieme tylu uroczystości i huków, osamotniały nagle.

Po chwilowym spoczynku, wojska zaczęły się rozchodzić. Jazda księcia saskiego i Pułkownika Nassau, piechota grafa Friese i chorągiew regimentu Rutowskiego, rozpoczęły te wsteczne poruszenia. Król dla straży przybocznéj pozostawił tylko przy sobie szwadron regimentu konnego królewica pod wodzą Pułkownika de Freneuse i oddział z pułku gwardji konnéj Jrała Miera. Milicja gdańska, która w ciągu całego kampementu odprawiała wartę w Willanowie i przy magazynach, w poniedziałek (25 sierp.) wsiadła na statki i Wisłą odpłynęła na Bałtyckie morze. ***) — Na swoje stanowiska w rozmaitych częściach kraju rozchodziły się i wojska koronne.— Król gwardję swoję przyboczną z Polaków utworzyć zamyślił. Dawniéj massami sprowa-

*)K. P. Nr 139.— **) K. P. Nr. 140.— ***) K. P. 140.

dzał Sasów do Polski, a teraz niewiadomo czemu i tych tysiąca dwóchset ludzi, których mu pozwoliła konstytucja Sejmu wielkiego r. 1717, nie trzymał w Polsce, a odsyłał do Saksonii. W tym celu z regimentów polskich piechoty i jazdy wybrał pewną ilość obeznanych ze służbą żołnierzy, a na ich miejsce kazał dobierać rekrutów, żeby nic z kompletu nie traciło wojsko narodowe. Gwardją opłacał król z własnych dochodów. A z tego podwójną korzyść odnosiła Rplita,—naprzód, że o 1200 ludzi podrosła liczba wojska polskiego, a to bez żadnego kosztu dla skarbu,—powtóre, że i noga saska już miała teraz nie postać na ziemi narodowéj. *)

Po rozejściu się wojska na stanowiska, Warszawa nie utraciła nic jeszcze ze swojego blasku i ludności,—bo król z dworem powrócił do miasta, a czas Sejmu nadzwyczajnego nadchodził. Już przedtém i w czasie kampementu, to przyjeżdżali, to odjeżdżali panowie śpiesząc na sejmiki i obrady po Województwach. Ale zbliżył się czas, kiedy nikt nie wyjeżdżał, a przybywało wielu. Cały ten czas przedsejmowy zajęty był zawsze jakiemiś ceremonjami, zabawami, naradami w stolicy. Przed samym tylko kampementem stanął w Warszawie wracający z Krymu Poseł Rplitéj Gurowski Stolnik Podolski, z Posłem tatarskim. **) 28 sierpnia odbyło się więc uroczyste posłuchanie Posła u króla, po którém na obiedzie w pałacu zatrzymał król księdza Lipskiego, już mianowanego biskupem krak. i Jrała-Lejtnanta Podkomorzego Denhoffa. Poniatowski z Tarłą W. Lub. wyznaczony był do konferencji z Posłem tatarskim. ***) W dni kilka, 1 września, rozpoczęto podobnież konferencje ze wszystkiemi Ministrami mocarstw postronnych, obecnymi w stolicy.****) Już to nieraz pierwszy przychodziło do takich narad wspólnych,—jeszcze od Sejmu Grodz. 1726, a jak zawsze tak i teraz bezskutecznie. Upór, źle zrozumiany interes, intryga wreszcie, rozwiązały dzieło wielkiego znaczenia dla narodu. Król w czasie konferencji, bawił wciąż w kole swojém domowém, jak człowiek prywatny, a koło to stanowiło jakby rodzinę. Zapraszał do siebie na obiady i często sam jeździł zaproszony, a wszędzie jedne i też

*) K. P. Nr 140. Supplement. — **) K. P. 135. — ***) K. P. 141. — ****) tamże.

same spotykał osoby i twarze. Koło to rodzinne składali, księżna Holsztyńska z mężem, Cześnikowa Bielińska, ksiądz Lipski, Mószyński Podskarbi, Miecznik książę Lubomirski, Bieliński Marsz. nadworny i Brühl. Takie miał towarzystwo August 1 września po zagajeniu konferencji u Podskarbiego Mószyńskiego. Mięszał się tu kiedy niekiedy Hozjusz Nom. biskup poznański i Dembowski Referendarz. kor. *)

28 sierp., Ordynat młody Zamojski wróciwszy z Warszawy z kampementu, oddawał słabemu ojcu w Łabuniach order Białego Orła, przy wielkiém zebraniu się gości, działach, powinszowaniach, wiwatach. Po obiedzie Akademia Zamojska winszowała Ordynatowi przez usta Duńczewskiego, Matematyki Professora, a Magistrat przez pisarza swojego. Ochota w późną noc się przeciągnęła. **)

Z osób mających udział na kampemencie, Poniatowski i Jrał Kampenhausen wyznaczeni byli przez króla do konferencyj z Posłem szwedzkim. ***)

15 września Regimentarz Poniatowski wjeżdżał na Wdzwo Mazowieckie w liczném assystencji panów i familji Czartoryskich. Stanął przed kościołem Augustjanów na ulicy Piwnéj, gdzie go witała licznie zebrana szlachta mazowiecka. Jędrzéj Stan. Załuski biskup Płocki, a Nominat Łucki wprowadził go do świątyni. Zagajono jenerał, a po wielu mowach dziękczynnych i powinszowaniach, wybrano podanych przez Wojewodę Deputatów na Trybunał koronny. Wieczorem tego dnia Wojewoda w pałacu biskupów krak. u 24 stołów częstował gości. ****)

18 września rozpoczęły się obrady dwuniedzielnego nadzwyczajnego Sejmu. Zakończył się on jak i inne za panowania Augusta,—zerwaniem obrad przez liberum veto. Posłowie się rozjechali,—i Warszawa teraz dopiéro odetchnęła cokolwiek spokojnością,—bo już od kwietnia żyła uroczystościami,—w ciągłym zgiełku, otoczona massami wojsk, olśnięta świetnością dworu, blaskiem magnatów polskich, ogłuszona wrzawą i hukiem artyllerji na polach Mokotowskich, Wilanowskich, Sieleckich....

*) Kur. Pol. po różnych miejscach. — **) K. P. 142.— ***) tamże.— ****) K. P. 143.

W Niedzielę, 5 paździer. odjechał graf Rutowski do Drezna. *) Wyznaczono na 8 paźdz. Senatus Consultum po zerwanym Sejmie. Ale dopiéro 13go zaczęły się posiedzenia Senatorów. **) Król obiecał złożyć nowy Sejm nadzwyczajny,—a na sejmiki relacyjne na 17 listopada wydał Uniwersały. ***) Wydał król jeszcze kilka razy bal na zamku, do którego przejechał z Saskiego pałacu, kilka razy jeszcze zjadł obiad u Moszyńskiego i rozdał wiele wakansów. Polecił ciągnąć dalej konferencje z Posłami mocarstw—i 19 paźdz. w niedzielę o 1éj z północy, wyjechał z powrotem do Drezna, obiecując rychły powrót. Poprzedziła go na dni kilka pocztą księżna Holsztyńska z Cześnikową Bielińską, a potém i sam książe. Wracali wszyscy na Poznań.

Tak zakończył się wielki kampement. Szczęk zbroi, huk dział na polach Willanowskich, musiał zbudzić cień wielki Jana III. Pierwszy to raz niesfornym chrzęstem broni i kłamanemi walkami rozlegały się okolice królewskiego mieszkania, które zbudowały tatarskie ręce. Była już wtedy Polska bez rządu,—a jednak czasy Augusta Mocnego powleka dziś jeszcze dla nas jakiś nieziemski urok poezji.—Historja zdaje się do nas mówić ustami. Słuchajmy wielkiéj nauczycielki ludów.

Dotrzymał swojego słowa król August Mocny. W styczniu 1733, wrócił do Polski na Sejm nadzwyczajny,—wrócił jakby dla tego, żeby umrzeć—a z nim i nasze czasy rycerskie zstąpiły do grobu. Odtąd zaczęły się u nas zapasy stronnictw,—a interess osobisty przeważał często sprawę publiczną.

Julian Bartoszewicz.

26 Października, 1846.

*) K. P. 156.— **) K. P. 147, 148.— ***) W saméj rzeczy uniwersały te podpisane były 16 paźdz. K. P. 148.— ****) Nr. 148 K. P.

TREŚĆ RZYMU

W PIERWSZYM OKRESIE.

(Dalszy ciąg.)

Wyrazem porównania się Kwirytów z Rzymianami—Tities z Ramnes—jest, jak powiedziałem, panowanie Numy Pompiliusza: jednakże nie przy nim lecz dopiéro pod Tulusem Hostyliuszem, zwią się Rzymianie *ludem rzymskim* i *kwiryckim*—populus Romanus Quiritium. Rzymianie i Kwiryci, jedni wsobistnieni w Romulusa, a drudzy w Kwiryna, stanowią z początku dwa *przeciwbiegunowę* pierwiastki. Różnica pomiędzy niemi po ich zlaniu się, jak wód Narwi i Wisły, nie prędko się zatarła: w pospolitéj *) rzymskiéj, obok **starych rzymian**, stoją **Kwiryci**, i wtenczas nawet, kiedy już o Ramnes i Tities i pamięć zaginęła, pozostał się *populus Romanus Quiritium*, ale zupełnie nowego kroju, co właśnie do zatarcia dawnego stanu rzeczy przyczyniło się. Rzym nie występuje jako całość, przy piérwiastku męskim konieczny element żeński, i tym ostatnim są **Kwiryci**. Z tych powodów formuła pod panowaniem Tullusa Hostyliusza przywiedziona, może dowolnie tu wstawioną została: jednakże i inne fakta przekonywają, że w piérwszym okresie, życia naszéj pospolitéj, różnica między dwoma pierwszemi, składowemi elementami, nie zatarła się; i jak obecnie główna rola przynależy się Ramnensom, tak następnie przechodzi do Tities, i jest wyłączną ich własnością—co miało miejsce za Waleriuszów i Fabiuszów.

*) Wyraz nasz pospólstwo, to samo co gmin oznacza, ildla tego gminę zowiemy *pospolitą*.

Po Titiensach do braterstwa przyjęci zostali Luceres; droga, którą to nastąpiło, niemniéj jest zagubiona, i do odszukania trudna.

Tullus Hostyliusz wprowadza, podług podań, do Rzymu pierwiastek albański; jest on opiekunem Lucerów, i małoletnich, pod względem osobistości przedstawcą; — w niego wstawiła historya ich dzieje: gdyż ludzkość małoletnia, nieosobista, naprzód szuka wyręczycieli w naturze materyalnéj; następnie idealnéj; a w końcu poznaje się na własnéj godności; zaczyna iść bez pomocy obcéj ręki; i przestaje mieć bogów cudzych przed sobą. W tym to charakterze przedstawcy, trzeci z porządku król rzymski, dziesięć kompanji jezdców, z Albańczyków tworzy. *) Na fakt ten, to jest znaczenie jego, mało zwrócono uwagi, jednakże jest on wyrazem wprowadzenia Lucerów, do podmiotu pospolitéj; jest loicznėm następstwem i wywiązaniem się z przyrzeczenia, obietnicy danéj przez Hostyliusza Albanom, że *primores* do *Patres* włączy; a plebejom da obywatelstwo: **) bezwątpienia oba te fakta jedna myśl wiąże. Pomimo to wszyscy historycy rzymscy — wyjąwszy Tacita — a nawet badacze dziejów rzymskich — zgadzają się na to: iż za Tarkwiniusza starszego, Lucerowie pod nazwą ojców mniejszych rodów — *patres minorum gentium*, zostali do senatu przypuszczeni; co jest wyrażone w fakcie podwojenia centuryi jezdców. Wedle podania, Tarkwiniusz, w czasie wojny sabińskiéj, widząc, że jazda była szczupłą, do Ramnes, Tities i Luceres, które to centurye Romulus na rozkaz bóstwa ustanowił, przedsięwziął dodać trzy inne, od swego i swoich imienia, nazwane. Temu zamiarowi sprzeciwił się Attus Nawius twierdząc, iż to bez zapytania się bogów o ich wolę, przez wróżbę etruską z lotu ptaków, nie może nastąpić. Tarkwiniusz poszedł za radą augura i tylko ilość centuryj, już istniejących, podwoił. ***) Podwojenie equites, bez podwojenia samych patrycyuszów nastąpić nie mogło; z tego powodu fakt ten jest ważny i do wyjaśnienia trudny, tém bardziéj, że po téj zmianie, jak i przed nią, istnieje nie

*) Liv. I. 30, equitum decem turmas ex Albanis legit.

**) Liv. I. 28, civtatem dare plebi; primores in patres legere; unam urbem; unam rempublicam facere

) Ann. XI. 25. — *) Liv. I. 36.

60, ale 30 kuryj. Dla objaśnienia téj zagadki stworzono dwie hypotezy:— Podług pierwszej, do każdéj kuryi dodano jeszcze 10 gentes i zrobiono, że centurya—tryba—ma tylko pięć kuryi: tak więc jak i dawniéj będzie w jednéj centuryi—trybie—rodów sto; a w sześciu centuryach kuryi trzydzieści. Druga bardziéj na faktach oparta, przypuszcza, że rody patrycyuszowe w trybach zamknięte i świeżym pierwiastkiem nieodżywiane gnijąc wymierały, tak, że w trzech trybach ze 300 rodów pozostało się tylko sto pięćdziesiąt; w tém położeniu rzeczy Tarkwiniusz przypuścił nowe rody w liczbie stu pięćdziesięciu, i dawny stosunek liczb pozostał się nietknięty. Przypuszczenie to gruntuje się jeszcze na tém podaniu, że Tarkwiniusz starszy zamiast stu pięćdziesięciu senatorów, uczynił trzystu; co zarazem objaśnia podwojenie centuryi jezdców.

Przypuszczenie Lucerów do podmiotu gminy rzymskiéj, i podwojenie Patrycyuszów, mogło stać się podług téj hypotezy, albo razem, alboli téż oddzielnie. Piérwsze przypuszczenie mogłoby się objaśnić w ten sposób:—Jeżeli jednemu rodowi—gens—w trybie, odpowiadał jeden Patrycyusz w senacie, to po wygaśnięciu gentes dwóch pierwszych tryb, nie było ich dwieście. Trzecia tryba, w czasie przyjęcia jéj rady do senatu rzymskiego, nie była w stanie posłać tu stu mężów: przeto Tarkwiniusz mógł zarazem i Lucerów do Patrycyuszów dodać; i powstałe ztąd sto pięćdziesiąt rodów, przez przypuszczenie patres minorum gentium, do trzystu dopełnić.

Obie te hypotezy nie mają w życiu Rzymian podstawy i dla tego nieprawdopodobne. Królowie rzymscy, tacy jak ich Liwiusz i Dyonizy skreślili, są wyrażeniem tworzenia się saméj gminy przez nią samą: Romulus, Numa, Hostyliusz, Tarkwiniusz starszy, jako reges, nie mogli do podmiotu pospolitéj wprowadzić pierwiastku obcego, Tities i Luceres. Jeśli Ramnes mieli senat ze stu członków złożony, i własnych equites, to ztąd nie wypływa: że senat tycyeński i lucerski, ich tryby, i centurye jezdców, składał się ze stu mężów i rodów. Niezawodnie każda z tych dwóch gmin zależnych, tylko w czasie pobratania się z Ramnes, podobnie do nich urządziła się, i jednakową z nimi przybrała formę. Z tego powodu Lucerowie do senatu rzymskiego musieli dać stu członków i tryba ich składała się ze stu rodów.

Miejsce rodów wymierających zapełniała stopniowo sama tryba, bo tego wymaga życie organiczne próżni i kalectw nie cierpiące, i nigdy ze stu rodów nie mogło się pozostać w trybie tylko pięćdziesiąt, gdyżby to trybę o śmierć przyprawiło. Nie wierzymy w owe reformy reges rzymskich. Sama pospolita, stosownie do natury swéj, ciągle życie swe podtrzymywała: ztąd druga hypoteza w oczach moich fałszywa i wszelkiéj podstawy pozbawiona: i dziwić się wypada, że Niebuhr, wierzący w fatalny liczb stosunek, wpadł na podobny pomysł.

Piérwsza hypoteza także bez gruntu jako na dziejach rzymskich nie oparta: czyż można udowodnić istnienie pięcio-kuryalnych centuryj?

Chcąc pojąć rzeczywiście dzieje Lucerów i ojców mniejszych rodów—to jest mniejszych, nowszych rodów—potrzeba pojąć charakter faktów przysądzanych Tullusowi i Tarkwiniuszowi. Podług Liwiusza piérwszy gminę Celijską do Rzymu wcielił i Princepes albańskich Patrycuszami uczynił, i z nich dziesięć turm jezdców wybrał. *) Stary zaś stu do senatu wprowadził, którzy patres minorum gentium są nazwani, **) i liczbę centuryi jezdców podwoił. Według tych faktów przypuszczenie Lucerów, i nowszych rodów, stało się w dwóch różnych epokach. Do dwóch tryb stu rodowych i dziesięcio-kuryjowych, przybyła trzecia tryba podobnego składu: i ztąd to trzy owe centurye Romulusa: ramneńska, tycijańska i lucerska. Odniesienie jednego i tegoż faktu do panowania Romulusa i Hostyliusza—gdyż pierwszy trzy centurye stanowi, a drugi dziesięć turm dodaje—okazuje jak ich dzieje pojmować wypada; i z tego to powodu nie możnaby wyrzec, że Hostyliusz przypuścił do podmiotu Luceres, gdyśmy go za jednostkę, a nie za uosobienie samych Luceres uważali. Sprzeczność ta pochodzi ztąd, że Romulus raz przedstawiony jest jako założyciel Rzymu dwutrybowego, a drugi raz trzytrybowego: i ztąd następnie wnosimy, że w najdawniejszych źródłach przypisano jemu utworzenie tylko centuryi ramneńskiéj i tycijeńskiéj: co właśnie objaśnia i niewiadomość Liwiusza o pochodzeniu i nazwie trzeciéj centuryi—lucerskiéj.

Tak niezawodnie, podług formalnie loicznych dziejów rzymskich, Hostyliusz Lucerów do podmiotu pospolitéj wprowadza; senat o ⅓

*) I. 30. — **) Liv. I. 33.

część, jak równie i jezdców powiększa. Zmiana ta, nastąpiła sama przez się, z kolei rozumnego rozwoju uspołecznienia rzymskiego.

Podług tychże dziejów, Tarkwiniusz stary, losy nowszych rodów uosobistnia: on nie stu, ale 150 ojców do senatu rzymskiego dodaje, i liczbę centuryi pomnaża: ale i pomnożenie się to nie było dziełem jednéj chwili, a stawało się stopniowo; w skutku czego Patrycyuszowie rzymscy, przedstawili się złożeni z patres majorum i minorum gentium. Sto pięćdziesiąt rodów było dawnych, a sto pięćdziesiąt nowych;—do ostatnich, jak całe dzieje rzymskie następne przekonywają, należeli i Lucerowie. Patrycyusze wystąpili rozdzieleni na sześć centuryj, gdyż dawne trzy tryby poszły w niepamięć, i oni to pod nazwą *sex suffragia* weszły do centuryalnych wieców.

Tak pojmujemy owe mniemane reformy. Tarkwiniusz stary, po zdjęciu z niego roli Lukumona, jako idący z Luceres, pozostanie się osobą historyczną; mógł on rozdział Patrycyuszów na patres majorum i minorum gentium i rozdział ich na sześć centuryi omówić, jednakże zmianę tę dokonała sama gmina rzymska.

Pomimo to że Patrycyusze występują, za Tarkwiniusza starego, jako patres majorum i minorum gentium, nie zupełnie zatarły się ślady dawnych tryb, ramneńskiéj, tycijeńskiéj i lucerskiéj; nie zrównały się one ze sobą i dopiéro po upłynieniu całego wieku różnica zaginęła. Nie podpada jednakże wątpliwości, że pewne zbliżenie się Lucerów do Ramnes i Tities, przed epoką Serwiusza nastąpiło. Panowanie jego przyczyniło się do zniwelowania pierwiastków, rzymski patrycyat składających; a zajścia późniejsze są tylko oddziaływaniem etruskiego, a mianowicie sabińskiego elementu, przeciw przemożnemu albańsko-latyńskiemu, występującemu pod nazwą patres minorum gentium.

Tak więc w okresie przed-Serwiuszowym Ramnes i Tities, a w części tylko Luceres, są podmiotem nieśmiertélnéj Romy;—ale już w tym periodzie są rzucone nasiona następnego uspołecznienia: bo Patrycyuszowie oddzielają się w dwie osobne grupy, *rody większe* i *rody mniejsze*.

Z początku jedna tryba jest, jako starsza od młodszéj, oddzielna;—nie ma między niemi ani małżeństw, ani juris commercii. Tryba pier-

wsza, pierwobraz, podług któréj inne się ukształciły, odpychała wyznawców innych bóstw, i musiała do drugich tryb to powiedzieć, co wyrzekły one, po zjednoczeniu się z nią, do Plebejów: — „*Za przypuszczeniem niewiernych do wspólności małżeństw, święty, sakramentalny związek zamieni się w bydlęce obcowanie; a dzieci z tych zakazanych połączeń zrodzone, nie będą wiedziały do jakiego bóstwa, do jakich ofiar należą.*" *) Nie jest to obraz przesadzony; — plebejami w owym czasie byli naprzód Tities, a następnie Luceres; a to co zostało późniéj wyrzeczone, musiało leżeć i w życiu poprzedniém, i miało tylko mocniejsze barwy. Odpowiedź Sabinów niechcących dać poddanym Romulusa, córek swych za żony, mniemanie moje czyni pewnością historyczną. — Tryby miały wspólnictwo praw rodowych z pospolitemi bratniemi: Rannes, z Etruryą; Tities, z Sabinami; a Lucerowie, z Lacium; co właśnie jest zarodem izopolityzmu. Z ucześnictwem w prawie małżeństw jest ściśle związane jus commercii: gdyż kto nie wszedł przez małżeństwo do rodziny, rodu prawowiernego, nie mógł wnijść do kuryi i tryby: a przeto nie mógł posiadać ziemi i rzeczy będących własnością bóstwa, władcy prawowiernych. Prawowierny z niewiernym, uważając go za rzecz, nie mógł wchodzić w zobowiązania.

Obywatele jednéj tryby nie mają w drugiéj ani prawa sprawowania dostojeństw, ani nawet prawa głosowania, a zatém cała sfera życia politycznego — jus gladii — dla nich niedostępna. Przeciwnie element jednego pochodzenia z trybą, przez nią przyjęty, miał przed sobą otwartą drogę do życia rodowego i pospolitego; miał on prawo miecza; i mógł bronić trybę, która się dla niego z pobratymczego grodu, stała ojczystym. Wszystkie podania rzymskie nacechowane są tém piętnem; Celius, Lukumo, bronią etruskiego Rzymu; Lukumo drugi i Masterna zostają królami. W Rzymie etruskim mają obywatelstwo Etruskowie, a w sabińskim Sabinowie, jak przekonywa powieść o Numie.

Obywatelem w obecnym Rzymie jest ród, kurya tryba, dla tego właśnie ród tylko pobratymczy, a nie jednostki, może dostąpić pełni praw rodowych i pospolitych; i w podaniach Celius, Lukumonowie i Masterna, a nawet późniéj Appijuszowie Klaudyuszowie, nie przybywają jako jednostki, a jako całe rody. Jednostka zaś, przybysz, nie mając sama w sobie znaczenia, musi się przyłączyć do osoby; musi się w ród rzymski wsobistnić, i zostać tegoż podwładnym, **klientem**; musi się w rodzie roztopić i zniknąć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Liv. IV. 2.